

Michał Janik

Niedrukowany rozdział "Opisu obyczajów" Kitowicza

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 27/1/4, 127-157

1930

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

III. MATERJAŁY.

Niedrukowany rozdział *Opisu obyczajów* Kitowicza.

Wśród skarbów puławskich, wcielonych do dzisiejszej Biblioteki Czartoryskich, znajduje się pod Nr. 2265 bardzo cenny rękopis ks. Jędrzeja Kitowicza. Jest to jego *Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III*. Oprawiony w skórę, ma wytłoczony na grzbiecie napis *Rękopism X. Kitowicza* i zawiera 597 stronice ponumerowanych, w tem zapisanych 537. Na pierwszej karcie zanotowano: „Manuskrypt ten pisany był własnoręcznie przez I. X. Kitowicza Kanonika“.

Przy szczegółowem porównaniu tekstu autografu z tekstami drukowanemi pokazuje się, że obejmuje on materiał częściowo całkowicie nieznanym, częściowo zaś pełniejszy od tego, jaki znamy z wydań drukowanych. Autograf nie ma karty tytułowej i nie jest podzielony na rozdziały, jak czytamy w druku, lecz na artykuły, podające w nagłówkach krótką treść materiału. Zupełną nowością są stronicie od 1—47, mieszczące nieznanym dotąd materiał o rzeczach religijnych aż do artykułu o jasełkach, od którego zaczynają się dotychczasowe wydania. Znacznie pełniejszy tekst zawierają artykuły o stanie duchownym, żołnierskim, dworskim i inne. Takiego nieznanego materiału w porównaniu z tekstami znanymi można liczyć w przybliżeniu na pięć do sześciu arkuszy druku. Oprócz tego autograf wykazuje sporo warjantów w poszczególnych wyrażeniach, przyczem zauważyć należy, że zasługują one na pierwszeństwo przed warjantami, wprowadzonymi w druku.

Pierwsi t. j. poznańscy wydawcy *Opisu*, za którymi poszli następcy, mieli w ręku jakiś inny rękopis niezupełny, bardzo jednak zbliżony do puławskiego, ponieważ w przedruku podaje także takie miejsca, jakie w rękopisie puławskim zanotowane są na marginesach. Mogły tu wszakże zachodzić dwie ewentualności. Albo rękopis, z którego korzystali wydawcy poznańscy, był niezupełną kopją rękopisu puławskiego, albo też była to kopja pełna, ale wydawcy uważali za stosowne pominąć całkowicie niektóre partje, inne zaś skrócić i mniej lub więcej przerobić. Za drugą ewentualnością mogłaby przemawiać okoliczność, że miejsca pominięte i skrócone

zawierają tu i ówdzie jaskrawe szczegóły lub drastyczne wyrażenia, co naraziło je na cenzurę.

Ponieważ wszystkie te miejsca są ważne dla poznania obyczajowości XVIII wieku i dla temperamentu wybitnego pisarza, przyszły wydawca będzie zniewolony przedrukować rękopis puławski w całości i bez zmian, co też nastąpi w drugim wydaniu Nr. 88 *Biblioteki Narodowej*. Narazie, przy zachowaniu wszystkich właściwości pisowni i wymowy Kitowicza, podaje się tutaj niedrukowane dotąd przedślowie „Do Czytelnika“ wraz z niedrukowanym również początkiem samego dzieła, ażeby potrzebę takiego nowego wydania *Opisu obyczajów* bezpośrednio podkreślić i uwydatnić.

Michał Janik.

Do Czytelnika.

Lubo niemasz nic nowego pod słońcem, jako powiedział Salomon, jednakowoż rzeczy na świecie odmieńając się ustawicznie według przepisanej im od Stwórcy prawa, i za kolejną jedne po drugich następując, nowemi być się zdają, chociaż już dawniej były. A że ludzie pospolicie lubią nowe rzeczy bardziej niż stare, nowemi zaś są wszystkie dawne dla tych, którzy ich nie widzieli, przeto, chcąc dogodzić powszechnemu gustowi, umyśliłem dawniejsze obyczaje polskie, jakie zaznałem za panowania Augusta Trzeciego i następnie panującego po nim Stanisława Augusta, wystawić potomności w dwóch osobnych opisaniach. Ci, co przed nami żyli stem lat prędej, jak czytamy z dziejów dawnych, wcale byli odmiennych od naszych obyczajów. Sama nawet postać dawnych Polaków odmienna dużo była od dzisiejszych, co się dosyć doskonale ukazuje w portretach i posągach staroświeckich. Ci, co po nas nastąpią za lat sto Polacy, pewnie się od nas dziś żyjących tak będą różnili, jak my się różniemy od dawniejszych. Niechże potomność, dla której to piszę, przegląda się w dawniejszych i nowszych obyczajach, z dobrych niechaj wzor bierze, złych niechaj się wystrzega. Za omyłki w pisaniu przepraszam mojego Czytelnika. Jeżeli będę miał czas poprawić ich, zechcę. Jeżeli nie będę, wybaczyć mi raczy.

O wiarach jakie były w Polsce za Augusta III.

Najpierwsza wiara w Polsce panująca była za Augusta III i jest do tych czas, acz ozięblejsza, *Katolicka Rzymska*. Druga od niepamiętnych czasów zadawniona, pełno wszędzie swoich wyznawców mająca, *Żydowska*. Trzecia później z tureckiego państwa wprowadzona w małej liczbie, bo tylko w Łucku na Wołyniu i w Haliczu na Podolu, *Karaimów*; jest to sekta starego testamentu; trzymają się Karaimi samej bibliji, odrzucają talmud i inne ustawy rabinów żydowskich. Są to podobno potomkowie Samarytanów, w Ewangelji często wspomnianych. Żyją przemysłem, tak jak Żydzi, chodzą po polsku a raczej po tatarsku z brodami

krymki noszą pod czapkami, z Żydami nie cierpią się wzajemnie. Nie dostało mi się nigdzie więcej ich widzieć, tylko w jednym Łucku, gdzie może ich być na 80 gospodarza.

Cz warta wiara luterska, 5-ta kalwińska. Tych dwóch wiar jest dosyć znaczna liczba po miastach i miasteczkach wielkopolskich, mianowicie nad granicą szląską, brandeburską i w Prusach. Jest dosyć familij szlacheckich lutrów i kalwinów, osobliwie w Wielkiej Polsce i w Litwie, a oprócz tego znajdują się w Krakowskiem, Sandomirskiem i Lubelskiem. Po niektórych miastach mieli pod panowaniem Augusta III swoje kościoły i oratoria jako też szkoły dla swojej młodzieży. Nie mieli jednak *liberum exercitium* obrządków swoich prócz w jednym Lesznie w Wielkiej Polsce i w drugiej Wschowie, w których dwóch miastach większa połowa mieszczan składa się z dyssydentów. W Lesznie lutrzy i kalwini mają swoje kościoły. Miasto Wschowa z dawnych praw swoich nie przyjmuje dotąd żadnego kalwina. Sami tylko są lutrzy i katolicy. Mieli także lutrzy i kalwini po wielu wsiach i miastach kościoły, tak zdawna prawami polskimi pozwolone, jako też podczas rewolucyj szwedzkich przy protekcji tych monarchów jako dyssydentów powystawiane, które niektórzy panowie polscy katolickiego wyznania odbierali im za dekretami trybunalskimi albo też gwałtowną mocą wywracali.

Tak robił niejaki Bonkowski miecznik poznański. Ten jeździł z dragonją nadworną Krzysztofa Szembeka prymasa, od przysłówia, które miał w mowie, nazwanego Balebale. Gdzie tylko dyssydenci nie mogli pokazać na swój kościół czyli, jak przedtem nazywano, krypel, prawa od Rzeczypospolitej albo choć mieli prawo, ale od biskupa do reparacji jego, gdy się podstarzał, nie mieli pozwolenia, a reparowali wszędzie, takowe kryple burzył lub podcinał. Jeżeli zaś gdzie dyssydenci oparli mu się mocą i nie dozwolili burzenia krypla swego, pozywał takowych do Trybunału, albo też dyssydenci o gwałtowność poniesioną na kryplu lub osobach swoich jego pozywali, tak że Regestr *Arianismi*, który wtenczas był w Trybunale i do którego sprawy religij należały, pełen był zawsze spraw Bonkowskiego przeciw rozmaitym dyssydentom. Dla czego pospolicie nazywano go plenipotentem Pana Jezusa, na której plenipotencji całe życie pilnowanej stracił dziedziczną fortunę ziemską w nadzieję otrzymania za to niebieskiej. Prymas Szembek wyżej wzmiankowany, będąc wielce świątobliwym i pragnącym wytępienia heretyków, dodawał mu znacznie pieniądze na ten interes, który jednak żadnego skutku nie miał, bo panowie inni, chcąc mieć miasta i wsie jak najludniejsze, zewsząd dyssydentów do swoich dóbr przyjmowali. W miastach także królewskich i ekonomjach pod panowaniem saskiem za protekcją ministra dyssydenta wielu Sasów lutrów osiadało, którzy, smakując sobie w polskim chlebie i mając się z niego dobrze, niewiele o to dbali, że im kryplów stawiać nie pozwalano, obywając się dawnymi, które utrzymaniem być mogły; a tak żarliwość kilku nie przemogła protekcji

większej liczby. Po śmierci Bonkowskiego i Szembeka nikt już więcej nie kłócił się z dysydentami, tylko jeden Kryski szlachcic z ziemi Wieluńskiej, który na proces z kalwinami o krypel w Krysku wsi jego dziedzicznej całe życie toczony stracił także substancją jak i Bonkowski, dzieci swoje w ubóstwie zostawiwszy. Coraz bardziej pod panowaniem Augusta III wzmagala się w Polsce luterja i kalwinizm. Przy dworze królewskim najwięcej było lutrów jako Sasów u króla Sasa. Panowie wielcy najwięcej podobali sobie w służących dysydentach, iż ci ludzie, chcąc się utrzymać i dorobić chleba w obcym kraju, sprawowali się skromniej, trzeźwiej i z większą aplikacją niż Polacy. Biskupi nawet i prałaci, porzuciwszy dawniejsze szkrupuły, mieścili w usługach swoich dysydentów. A tak te wiarki, nie mając z niskąd wstrętu, owszem miłe u pierwszych osób przytulenie, cisnęli się jak mogli do Polski i rozmnażali.

6-ta wiara mahometańska, ta zaś gniazdo swoje ma w Litwie, wprowadzona od Witolda ksiązęcia litewskiego, który kilkadziesiąt familij tatarskich sprowadził z półwyspu Krymskiego i tam ich osadził, nadawszy niektóre grunta dziedziczenem prawem, które do dziś dnia posiadają.

7-dma schizmatycka grecka; ta się znajdowała pod panowaniem Augusta III na Podlasiu w Drohiczyźnie w dobrach słuckich ksiąząt Radziwiłłów, w Litwie i na Rusi po wielu miejscach. 8-sma Filipowców; ta się znajduje na Rusi tylko i w małej liczbie, ma to być jeden gatunek z kwakrami, o których zaraz. 9-ta maniśtów albo kwaków, którzy się ulokowali około Gdańska i w samym Gdańsku.

10-ta farmasonów czyli freymasonów, jeżeli się ta kompanja wiarą nazwać może, bo pospolicie ci, co są farmazonami, powiadają, że ta ich kompanja nie do wiary nie należy, tylko jest jak konfraternja; przyjmują do niej wszelkiej wiary ludzi, rozmaitych stanów, nawet i duchownych, którzy mają przymioty od tej wiary czyli konfraternji przepisane; ale tak przymioty osób jako też powinności konfraternji chowają pod wielkim sekretem, którego do tych czas nie docieczono, choć na to w różnych państwach surowe urzędowe bywały inkwizycje. Franmasonowie mają między sobą jakieś niedościgłe znaki, po których jeden drugiego pozna, choć do siebie słowa o tem, że są farmazonami, nie przemówią; i kto trzeci nie farmazon będzie między nimi, tego znaku wcale nie postrzeże. Do Polski tę sektę czyli konfraternję przywiózł z Paryża Andrzej Mokronowski, który umarł wojewodą mazowieckim. Gdy się ta sekta rozeszła między pany po Warszawie a żaden z tych sektarzów nie chciał się do niej zrazu przyznać, konsystorz warszawski, nie mając, komu by mógł proces formować i nie wiedząc o co, wydał tylko rozkaz do duchowieństwa, ażeby prawowiernych przestrzegało z ambon o pojawiającej się nowej sekcje, aby się jej strzegli, która musi być zła, gdy się na jaw nie chce wydać, bo, co dobrego, światła nie unika. To wołanie po ambonach uczyniwszy zwierchność duchowna podług swojej troskliwości pasterskiej o owieczki prawo-

wierne, nareszcie umilkła nie wiedząc dalej, przeciw komu wołać i o co. Farmazonowie zaś swoje zgromadzenie w sekrecie powiększali, raz rosnąc, drugi raz malejąc, według liczby przybywających do nich albo odstępujących. Rzecz podziwienia godna, że między tylu osobami rozmaitego stanu, w różnych państwach, przy rozmaitych usiłowaniach zwierzchności krajowych, nie znalazł się ani jeden taki farmazon, któryby wydał ustawy tego bractwa. Nawet ci, którzy odstąpili od niego, z ściśle zachowanym sekretem pومیerali. Nawet ten sam Mokronowski, wódz polskich farmazonów, umierając w Warszawie z katolicką wyprawą duszy w drogę wieczności, po uczynionej spowiedzi, po przyjęciu wiatyku i ostatniego pomazania, gdy do przytomnych wyrzekł te słowa: „teraz będę spokojnie umierał, kiedym się z Bogiem moim pojednał“, po staremu o tranmasonach nic a nic nie doniósł, choć w młodszym wieku, że jest farmazonem, z tem się nie tał.

Ku końcu panowania Augusta III przybyła do Polski sekta 11-ta Ciapciuchów. Początek jej takowy. Żyd bogaty w tureckim państwie imieniem Franck, będąc wielkim czytelnikiem biblij, stosując wszystkie prorocstwa z temi skutkami, które zaszły w religji, i narodzie żydowskim, został przekonany, że Mesjasz przepowiedziany przez proroków już przyszedł, że zatem Stary Zakon ustał, a nowe prawo koniecznie do zbawienia potrzebne zajaśniało, którego światłem (jak on powiadał) tak był na rozumie i woli przeniknionym, że żadną miarą nie mógł się dłużej pozostać w dawnych błędach żydowskich. Tego oświecenia Boskiego zwierzył się kilkom przyjaciołom swoim, a ci znowu pociągnęli do niego więcej innych Żydów tak, iż w kilkanaście familij wyszedł z Tureccyzny do Polski, ponieważ tam czynić odmianę w religji niebezpieczno mu zdawało się. Ukazał się najprzód w diecezji kijowskiej, potem w łuckiej, coraz większą liczbę Żydów do siebie pociągając, ponieważ będąc wielce bogatym wszystkich prozelitów swoich żywił i potrzeby ich opatrywał. Przez dwa roki ci nowowiercy nie przyjmowali chrztu, ani też starego testamentu nie zachowywali, w którego przestępstwie wielokrotnie poszlakowani od Żydów byli zapozwani do konsystorzów, najprzód do kijowskiego a potem do łuckiego.

Sami biskupi zasiadali na tej sprawie, po wielokroć roztrząsanej. Acz Franck z swoimi naśladowcami na tych sądach a raczej na tych dysputach nic na stronę chrześcijańskiej wiary nie konkludował, tylko, że Mesjasz już przyszedł, dowodził, a najgruntowniej fałsze talmudów zbijał, dla czego z początku nazywano partją Frankowską contra-talmudystami. Gdy zaś ani wiary żydowskiej nie zachowywali ani się do chrześcijańskiej nie mieli, ale coś trzeciego między tem dwojgiem wznawiali, taki troisty wyrok dano im do obrania: albo chrzest przyjąć albo się do żydostwa powrócić albo z kraju ustąpić.

Franck, któremu kraj polski do zamysłów jego skrytych najzdacniejszym się być zdawał, obrał sobie chrzest, który z całą

partją swoją kilkaset dusz wynoszącą przyjął. Wielu panów na Rusi, w Krakowskim i Sędomirskim, z przywiązania do wiary św. katolickiej tych nowochrześciców do miast swoich przyjęli, nadawszy im darmo domostwa i grunta, od katolików lub Żydów odkupione. Żydzi zaś za wżgardę starego testamentu chrztem przyjętym wyrządzoną nazwali ich ciapciuchami, co podobno jedno znaczy, co łajdakami. Franek z innymi, którzy nie mieli żon ani gospodarstwa, którzy się przy nim wieszali i jakby straż jego formowali, udał się do króla, jako większej szczodroliwości nad innych i opatrzenia wygodniejszej ostoji potrzebujący. Wjechał do Warszawy kareta sześciokonną, otoczony asystencją swoją, dzidami i szablami uzbrojoną, której zawsze używał, gdy się publicznie pokazywał. Król, mając go za człowieka, który znaczne pomnożenie wierze świętej katolickiej w krótkim czasie uczynił i który w przyszłym czasie większy uczynić może, dał mu audjencją (co u Augusta III dla Francka było honorem niemałym), upewnił go o dalszej swojej protekcji i opatrzaniu siedliska wygodnego, na prędcę zaś kazał tak dla niego jako też jego asystencji dać stancje i żywność z kasy swojej królewskiej.

Lokowali się ci ciapciuchowie (tak ich będę dalej nazywał) w parochji misjonarskiej w tyle ogrodu misjonarskiego, kilka niedziel bawiąc nieczynni i jakoby oczekujący na dalsze względem siebie Jego Królewskiej Mości rozporządzenie i ucząc się *quidem* doskonalej nowo przyjętej nauki Chrystusowej.

Gospodarz, u którego stał Franek, uważając często schodzących się do niego w pewne godziny ciapciuchów, bawiących długo i zamykających się z nim, a potem razem po odbytej schadzce wychodzących, wzięła go ciekawość dowiedzenia się, co oni z swoim Franckiem robią; więc przez szpary w izbie, do której się schodzili, porobione dojrzał, że Franek na krześle wysoko postawionem zasiadał, że im coś przepowiadał, że ciapciuchowie, otoczywszy go wkoło, na kolana padali i czołem w ziemię przed nim bili.

Wypatrzywszy ich tak gospodarz po kilka razy i kilkom innym katolikom dla świadectwa lepszego pokazawszy, dał znać misjonarzom o tem, co widział. Śliwiecki wizytator misjonarski na tych miast uwiadomił króla. Król kazał Francka wziąć w areszt i przeprowadzić do misjonarzów z kilką przedniejszych ciapciuchami dla wyegzaminowania ich, jak wierzyli i jakie zamysły mieli. Nie czyniąc im ani innym ciapciuchom po kwaterach zestawionym żadnej przykrości, bawili u misjonarzów na tych egzaminach ze dwie niedzieli. Nie mogli misjonarze z Francka nic więcej wyciągnąć, tylko tyle, że oprócz Chrystusa, którego wiarę przyjął i ze wszystkim trzyma, według nauki powziętej z biblii starego testamentu jeszcze ma być drugi Mesjasz, który nawróci do siebie wszystkich Żydów, a tego mniemania swego dowodził słowy wziętemi z Psalmu 86: *Homo et Homo natus est in ea*, w czem nie dał się przepierać. O sobie jednak, że się miał za tego drugiego Mesjasza, żadnym sposobem się nie wymówił. Drudzy zaś ciapciuchowie na *examen*

wzięci osobno porozsadzani, wyznając także wiarę katolicką za prawdziwą jako i Franek, z tem się tylko wygadali, iż dlatego Franekowi oddawali przyklęknięcia i czołobitne ukłony, że nad jego głową kilka razy widzieli jasność na kształt płomienia, a przeto mają go za proroka, który ich z wiary błędnej nawrócił do prawdziwej. Dwór z tych badaniów poznawszy, że Franek ma sposobność do mamienia ludzi, ażeby mu umknąć okazji do tego głupstwa, odesłał go do Częstochowy, osadziwszy tam z żoną i córką o jego własnym koszcie, na który wystarczały mu pieniądze z Turczyczyzny z jego handlu, który tam ma znaczny, corocznie dosyłane. Jego żona była tak delikatna czyli tak wykwinna, iż pokarmu do gęby ani napoju swemi rękami sobie nie podawała, ale ją inna kobieta służąca jak małe dziecko karmiła. Lecz w Częstochowie odpadły ją te grymasy, jadła potem sama, i inne drobne potrzeby sama sobie rękami własnymi ułatwiała. Ciapciuchowie pozbywszy głowy, od króla do tego opuszczeni, rozeszli się w różne strony.

Gdy potem pod panowaniem Stanisława Augusta powstała zawierucha w kraju, wielu z nich przeniosło się do Warszawy. Opiszę ich religją pod panowaniem tego króla, gdy będę pisał o wiarach i obyczajach polskich pod jego panowaniem. Tu zaś kończę portret ciapciuchów, tak ich wystawując, jakimi byli za czasów Augusta III. Żyjąc oni w małych gromadkach, po różnych miastach osiadłych, okazywali chrześcijan, bez wszelkiej przysady starego zakonu wiarę przyjętą Chrystusową wyznających, a przynajmniej nie byli poszlakowani w żadnem mieszaniu starego zakonu z nowym. Franek ich pryncypał siedział w Częstochowie z żoną i córką (jako się wyżej rzekło) aż do roku 1772, którego po ustąpieniu dobrowolnem konfederatów z tej fortecy weszli do niej Moskale. Książę Galliczyn, generał moskiewski, czyli z dołożeniem się króla czyli z domysłu swego wypuścił Franeka, a ten nie śmiejąc więcej dosiadywać w Polsce, gdzie jego mesjaszowską godność tak upodlono, wyniósł się do Szląska, a stamtąd do Frankfurta nad Odrą.

12-tą wiarą albo raczej powszechną niewiarą można nazwać Deistów. Ci odrzucają naukę objawienia, przeto wszystkimi religjami zarówno pogardzają mniemając, że światło rozumu dosyć jest zdolne do objaśnienia człowieka między wyborem złego i dobrego. A że tyło jest rozumów, ile głów ludzkich, zdaniem i skłonnościami od siebie różnych, przeto każdy deista tak się sprawuje, jak mu dyktuje jego rozum pasją lub interesem omamiony, nie uważając na żadne postrachy przyszłego życia, które religja jakkolwiek swoim wyznawcom za największy bodziec do szanowania jej i stosowania obyczajów do przepisów onej wystawuje. Same tylko kary cywilne są u nich hamulcem od złego. I ten to jest ich rozum nie czynić tego złego, za które może być kara, a co się może wypełnić bez kary, to wszystko dobre.

Deiściowie byli w Polsce jako i wszędzie dawniejszych wieków; lecz że w Polsce były prawa ostre dawnemi czasy na

ludzi przewrotnych, mianowicie na bluźnierców religji katolickiej albo jej jawnie niezachowujących a do niej urodzeniem lub przyjęciem należących, dlatego nicht, choć był w sercu deistą, to jest bez wiary człowiekiem, nie śmiał się z tem wydać, owszem zachowywaniem powierzchownem obrządków religji starał się uchodzić za człowieka mającego religją, bo Regestr *Arianismi*, który znajdował się w Trybunałach, szczególnie do spraw przeciw Bogu i wierze św. katolickiej wyznaczony, był każdemu bluźniercy lub gardzielcowi nauk wiary straszny, karząc gardłem popolicie tych, którzy do niego byli zapozwani i przekonani.

Na końcu panowania Augusta III, którego dwór był złożony z samych dyssydentów, a na czele miał ministra lutra, Regestr *Arianismi* przestał być straszny, bo protekcją tego ministra wszystkich wyśmiewaczy religji katolickiej zasłaniała. Młódź polska, popolicie dla przepolerowania obyczajów i rozumu zagranicę wysyłana, powracała do kraju zarażona deizmem i libertynizmem. Metrowie, używani do paniąt edukowanych w kraju, popolicie bywali cudzoziemcy, w kraju swoim dla małych talentów i złych obyczajów pożywienia lub miru nie mający, najczęściej Francuzi, którzy z przyrodzenia są lekkomyślni w zdaniach religji (jako dawno napisał o nich Barklajusz: *credunt quod volunt, rident quod colunt*). Tacy nauczyciele, mało mający bogobożności, napawali uczniów swoich rozwiozłemi zdaniem, punkt honoru przekładali im za cel podczciwego człowieka, a zaś bojaźń sądu i piekło po śmierci tylko mieć kazali za postrachy wymyślone dla podłego gminu, aby go utrzymać w posłuszeństwie, który inaczej nie umie szacować cnoty, tylko przez obawę kary za zbrodnie jej przeciwne. Być podczciwym (według nich) człowiekiem jest uznawać Boga za stwórcę i najwyższego pana wszech rzeczy, królowi swemu być wiernym, ojczyznę swoją kochać, nikomu nie czynić krzywdy, ile możliwości bez swojej szkody. I we wszystkich sprawach swoich oglądać się na przystojność stanu swego, przynajmniej powierzchownie, jeżeli natura nie może zachować jej wewnątrznie. To cały sumarjusz czyli zbiór nauki i przykazania deistów, które być powinny zachowane. Tajemnice zaś o istocie Bóstwa pod utratą zbawienia od wiary podane do wierzenia, sposób czczenia Boga zewnątrzny i wewnątrzny, sakramenta, posty i inne umartwienia ciała, bractwa i różne nabożeństwa, zgoła wszystką naukę kościelną o Bogu i obyczajach udawali albo za wcale niepotrzebną albo przynajmniej tak obojętną, o której potrzebie rozum czysty i wysoki doskonale przekonany być nie może. Takimi zdaniem często od metrów swoich słyszanemi zarażeni uczniowie, po skończonej edukacji, gdy się chwycili czytania ksiąg Woltera, Russa, Spinozy i innych bezbożników, wdawszy się do tego w kompanje rozwiozłych ludzi, formowali się w deistów doskonałych.

Lecz ta zaraza pod panowaniem Augusta III, świątobliwego pana, jeszcze nie była tak śmiała, jaką się wkrótce potem uczyniła; okrywała się płaszczkiem prawowierności i nie śmiała przedrwie-

wać z tego, cokolwiek należało do religji. Nie znajdowała się też, tylko między panami, potrosze między szlachtą majątniejszą i kupcami bogatszymi, którzy przez dostatek fortuny lubią się sadzić na edukacją dzieci pańskiej wyrównywającą. Deizm tedy rozszerzył się w Polsce przez metrów, przez paniczów zagranicę wysyłanych, przez książki. Można przydać do tych źródeł jeszcze jedno.

Księża pijarowie Konarscy, dwaj bracia, wodzący rej w tym zakonie, dla pożytku zakonu i nabycia dla siebie reputacji u pierwszych panów, blisko swego klasztoru czyli (jak go nazywali, emulując z jezuitami) kolegjum wystawili w Warszawie wspaniały konwikt, do którego nazgromadzali paniąt z całego kraju. Prawda, że przed nimi dawniej księża teatyni zatrudniali się edukacją paniąt, ale ich konwikt nie mieścił więcej jak 20 i nie uczyli więcej, jak łaciny i języka francuskiego. Księża zaś pijarowie miewali w swoim konwikcie po kilkadziesiąt konwiktorów i uczyli nie tylko łaciny, ale też różnych języków i sztuk kawalerskich, jako to fechtowania, tańcowania i na koniu jeżdżenia. Łaciny uczyli sami, do języków zaś i sztuk kawalerskich przyjęli metrów cudzoziemców, nie czyniąc żadnego wyboru między nimi względem wiary, ile że ci metrowie, w mieście mieszkający, tylko do konwiktu na swoje godziny przychodzili, ale mieli sposobność w tej godzinie, kiedy paniętom dawali lekcje, podszeptywać im przez konwersację rozmaite szkodliwe zdania. Księża pijarowie prawda konwiktorom swoim dawali tak jak i w publicznych szkołach nauki duchowne, inspirowali im pobożność przez zwyczajne dla młodzieży *exercitia*, spowiedzi miesięczne, exhorty w oratorjach, ale w pewnych czasach wyprawiali komedje, do udawania których chłopców piękniejszych za panny, mniej gładkich zaś albo żwawszych za kawalerów przebierali, potem w każde ostatki zapustne prowadzali swoich konwiktorów do jakiej kompanji panien z umysłu na to zebranych, z którymi oniż konwiktorowie rozmaite tańce nakształt popisu z nauki odprawowali. A tak jeżeli im cokolwiek nabili głowy pobożnością przez nauki duchowne w oratorjach, to wybili wcale na komedjach przez naśladowane umizgi do kobiet i przez prawdziwe zaloty zapustne i tańce z kobietami; co wszystko potrosze skłaniało do rozwiozłości obyczajów, a rozwiozłość do pogardy wiary, pogarda zaś do deizmu.¹⁾

O pobożności za czasów Augusta III.

Wystawiłem Czytelnikowi memu wiary, czyli religje, które się znajdowały w Polsce za panowania Augusta III. A że wiara katolicka prym trzyma w tem Królestwie, jej zaś podziałem jest pobożność i nauka o Bogu, ta zaś nauka jedna jest i nigdy nieodmienna w całym Kościele i po wszystkie wieki jedna była i bę-

¹⁾ Ustęp ostatni przekreślono w autografie, a pod nim dopisano inną ręką: „Niech mu to Pan Bóg odpuści.“

dzie w prawdziwym Kościele Chrystusowym, który jest jeden katolicki rzymski, dlatego nie mam co o tej nauce pisać. Ale drugi jej podział, pobożność, ten że się odmienia w ludziach podług okoliczności, raz się natężając, drugi raz słabiej, przeto o pobożności katolickiej za czasów Augusta III jest co pisać, i zda mi się, że ten opis pobożności dawniejszej będzie nowym wizerunkiem przyszłemu Polakowi.

A najprzód zaczynam od powszechnego wszystkim pospolitego nabożeństwa, które się odprawia po kościołach. To bywało bardzo często, osobliwie w wielkich miastach z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, z kazaniami i procesjami wewnątrz kościoła, które nabożeństwa ogłaszali duchowni przez kotły i trębaczów przed tym kościołem w wieczór, w którym się nazajutrz takowe nabożeństwo odprawiać miało, na które nabożeństwo schodzili się gromadnie prawowierni obojej płci, a nawet wielcy panowie i panie. W kościołach jezuickich codzien rano o godzinie siódmej odprawiała się msza z wystawieniem sakramentu Ciała Pańskiego w puszcze, z śpiewaniem przed mszą *O salutaris Hostia* (są to dwie ostatnie strofy z hymnu na Boże Ciało, znajdującego się w pacierzach kapłańskich) i dawaniem przeżegnania ludowi taż puszką. Po mszy śpiewał kapłan z ludem *Święty Boże*, potem powtarzającym trzy razy *Salvum fac*, co także jest na końcu hymnu znajomego *Te Deum laudamus*. Na ostatku zaczął modlitwę śpiewanym głosem *Fiant Domine*, którą lud kończył, a kapłan na tych słowach *regionem istam*, dając powtórne przeżeganie, chował puszkę do *ciborium*. Na tę mszę schodziło się najwięcej pospółstwa, a jeżeli z dystyngwowanych, to szczególnie nabożniejsi, którzy mogli raniej wstawać, bo inni panowie i panie, lubiące długo sypiać i nie chcące się pokazać, tylko wystrojone, nie przybywały do kościołów rychlej jak na wielkie nabożeństwo przed południem.

Oprócz nabożeństw uroczystych schodzili się panowie i pospółstwo na nabożeństwa parochjalne co święto i co niedziela na mszą śpiewaną i na kazanie jako też na nieszpory. Gdzie się znajdował kaznodzieja lepszy, tam bywał większy nacisk ludu, tak że kościół objąć ich nie mógł. A nie tylko w dni święte, ale też i w dni powszednie ztrudna kto mający czas wolny opuszczał mszą świętą. Po wsiach zaś mięszkająca szlachta, jedni możniejsi, którzy mieli pozwolenie od zwierzchności duchownej na kaplice, trzymali kapelanów, którzy dla państwa i służących mniej zatrudnionych codzien mszą św. odprawiali, a w wieczór zszedłszy się wszyscy do kaplicy odprawiali nabożeństwo, pospolicie z litanjów różnych i pieśni tudzież modlitew złożone, po którym wzięwszy od kapelana pokropienie święconą wodą na wczas się rozchodzili. W święta zaś uroczystsze zjeżdżali się na nabożeństwo do parochjalnego kościoła aibo do jakiego bliższego, mianowicie do zakonników, u których więcej niż w parochjalnym kościele bywać zwykło nabożeństwa. Który zaś szlachcic nie chował kapelana, tedy sam z domownikami swymi nabożeń-

stwa wieczorne odprawował, do rannych nie zwołując czeladzi, prędzej niż pan wstał, robotą swoją zaprzątionej. Spowiedź i komunją wielkanocną wszyscy, nawet i wielcy panowie odbywali.

Bractwa, końcem pomnożenia chwały Boskiej zdawna do Polski wprowadzone, były w wielkim szacunku. Te zaś były znakomitsze. Najprzód w szkołach dla studentów tak u jezuitów jak u pijarów była kongregacja *Sodalitatis Marianae*. Dzieliła się na większą dla filozofów i teologów i na mniejszą niższych szkół. Każda miała swego prefekta, który w święta pewne z swoimi sodalisami odprawiał kongregacją, mawiano na niej *recitative Officium Immaculatae Conceptionis*, potem ksiądz prefekt miał exhortę do sodalisów, zachęcając ich do życia jak najniewinniejszego i do bronienia honoru Matki Boskiej. Egzaminowano potem, jeżeli który sodalis nie jest w jakim znacznym występku notowany; co kiedy się pokazało, zostawał ekskludowany nie tylko z kongregacji ale też i ze szkół. Ekskluzja ze szkół była tak straszna dla studentów jak klątwa kościelna; wystrzegali się wszyscy przestawać a nawet i mówić z ekskludowanym tak jakby z wyklętym. Występek, ściągający na siebie ekskluzję, bywał pospolicie przenoszenie się w biegu szkół nieodpowiedne z jednych do drugich, gdzie były dwoiste, jak to trafiało się w niektórych miastach, że były szkoły pijarskie i jezuickie; nocne grasowania i lusztuki po szynkowniach po dwoistem napomnieniu lub karze szkolnej niezaniechane; psota wyrządzona jakiej paniencie albo intryga z mężatką przez męża dowiedziona, które ostatnie dwa przypadki nie miały żadnego gradusa admonecji, ale prosto karane były ekskluzją z przydatkiem, jeżeli winowajca mógł być pochwycony, stu batogów. W takowe występkі rzadko zdarzane wpadali sami dyrektorowie uczący mniejszych studentów i sami będąc studentami. Ci zazwyczaj bywali mężczyźni dorośli pod wąsami i nie tak dla nauki jak dla sposobu do życia szkoły traktowali, po skończonym raz kursie filozoficznym i teologicznym zaczynając go drugi raz albo też wzięwszy patenta z jednych szkół, o dobrem sprawowaniu się świadczące, przenosząc się do drugich.

Mali sodalisowie za małe przewinienia, jako to nieodbywania powinności sodaliskich, nieskromne sprawowanie się podczas kongregacji, nieznajdowanie się częste na niej, karane bywały degradowaniem sodalisa na tyrona. Sodalis był ten, który był przyjęty do księgi sodaliskiej i w obecności kongregacji uczynił niby profesją; był to pewny formularz, którym sodalis każdy obowiązywał się szczególniejszym sposobem służyć Najświętszej Pannie tak nabożeństwem do niej jako też niewinnem życiem. Tyro nazywał się, który dopiero do kongregacji przystępował i miał pewne czasy do wysługi i nauczania się *sodalitatis* obowiązków zamierzone. Sodalisowie na kongregacjach zasiadali w ławkach, tyronowie stali na środku w oratorjach albo klęczeli, jeżeli co przewinili; a była to wielka kara na sodalisa, kiedy z ławki został rugowanym i w rząd między tyronów stojących, tem bardziej klęczących, skazanym.

Sodalis Marianus wiele znaczył między studentami. Największe zakłęcie bywało; *uti sum Sodalis Marianus*; albo też największą wyrzucenie płochości lub nienabożeństwa: *Sodalis Marianus*, a swawolny albo nienabożny. Takowa święta ambicja wielce służyła młodzieży szkolnej do wprawienia onej w bogobojność. Nie tylko zaś sami studenci składali kongregacją *Sodalitatis Mariana*e, ale nawet i ludzie doskonali przyjmowali ją. Tak palestra lubelskiego Trybunału i magistrat tamtejszego miasta trzymali to *institutum Sodalitatis* z tą tylko różnicą, że się z studentami ani sami z sobą nie łączyli. Palestra miała osobną swoją kongregacją, magistrat osobną. Przepraszam Czytelnika mego, że się z opisaniem *Sodalitatis Mariana*e za dużo rozszerzył, bo ponieważ ta *sodalitas* razem z kasowaniem jezuitów zgasła, u pijarów zaś, choć jest, to nie w takim poważaniu, więc chciałem, aby ślady jej w piśmie mojem potomności zostawić.

Drugie bractwo po sodaliskiem było *Literatorum* czyli *Literackie*. W to bractwo wchodziły osoby same tylko miejskie i sami tylko mężczyźni, tak wiele uczeni, że mogli czytać na chorałach kościelnym, z którego śpiewali w dni święte, pospolicie w farnym kościele, mszą wotywę przed ołtarzem swoim, który opatrywali światłem i innymi należnościami tudzież funduszem na *stipendia* księdzu za te msze śpiewane. Że tedy umieli czytać, a co większa po łacinie, choć wielu z nich tego języka nie rozumieli, stąd bractwo swoje nazywali literackiem, a siebie literatami, lubo i to prawda, że wielu z nich byli ludźmi uczonymi z osób magistratowych.

Inne bractwa dla wszystkich obojej płci pospolite były: rożańcowe, szkaplerzne, Serca Pana Jezusa, Pocieszenia Najświętszej Panny, Św. Ducha, św. Anny, św. Rocha, św. Barbary i innych bardzo wiele pod tytułem rozmaitych świętych.

Rożańcowe i szkaplerzne bractwa były najludniejsze; z trudną kto nie znajdował się wpisanym w pierwsze lub drugie. Rożańcowe kwitnęło i wydawało się najwięcej po miastach i miasteczkach, a nawet i po niektórych wsiach. Dominikanie, fundatorowie tego bractwa, otrzymali — nie wiem, jak dawno — przywilej od Stolicy Apostolskiej, że to bractwo nigdzie nie może być wprowadzone, tylko przez dominikana, który zaraz udziela odpustów temu bractwu służących, gdy go do jakiego kościoła innej reguły nie dominikańskiej zaprowadza; w każdym albowiem kościele dominikańskim rożaniec ma siedlisko swoje równo z fundacją klasztoru i po chórze zakonnym trzyma miejsce najpierwsze w publicznem nabożeństwie.

Gdy śpiewają rożaniec bracia i siostry, ksiądz promotor zawsze mu asystuje, zaczynając go z ambony i przekładając ludowi z książki tajemnice życia, męki i zmartwychwstania Chrystusowego, z których się składa ten rożaniec. Za każdą tajemnicą śpiewa bractwo *Ojciec nasz* i dziesięć *Zdrowaś Marja*, potem *Chwała Ojcu*,

na ostatku *Wierzę w Boga* i litanją. Kończy się jaką pieśnią, do czasu kościelnego stosowną.

Dzieli się różaniec na dwa gatunki: jeden się zowie Najświętszej Panny, drugi Imienia Jezus; porządek nabożeństwa w obydwóch jeden, z tą tylko różnicą, że w różańcu o Imieniu Jezus nie śpiewają *Zdrowaś Marja*, ale na to miejsce dziesięć razy *Jezusie, synu Dawidów, zmiłuj się nad nami* i na końcu litanją o imieniu Jezus.

Urząd promotora różańcowego jest u dominikanów niepośledni, idzie zaraz po lektorach szkoły to jest nauczycielach, i musi być w zakonie dobrze zasłużony, komu go dadzą. Nie ma on żadnej pensji z klasztoru, jak mają profesorowie, ale ma przydatnią porcję w refektarzu, którą zakonnicy nazywają piktancją; oprócz tego miewa częste posiłki i podarunki od braci i sióstr, kiedy jest pilny urzędu swego, która pilność na tem zawisła, żeby się pierwszy znajdował na ambonie, kiedy się bracia i siostry schodzą na różaniec, żeby punktualnie zapisował protokoły bractwa, mianowicie elekcjów starszeństwa, żeby emulacje zachodzące o pierwszeństwo umiał bez narażenia się stronom kombinować, żeby podczas procesyj publicznych tegoż bractwa znał się, komu jakie dać miejsce podług jego godności. Kto się umie sprawić sztucznie z temi grymasami, wszędzie się do pobożności władającymi, ma się jak pączek w maśle. W inych kościołach nie-dominikańskich, mianowicie po wsiach, gdzie niemasz tych elekcjów brackich ani urzędów, ani procesjów różańcowych, tylko sam różaniec śpiewany przez chłopów i dziewczki, nie znające tej pobożnej szczodroblowości dla księdza promotora, urząd jego zastępuje ksiądz pleban lub wikary, jeżeli na to jest jaka fundacja, a gdzie niema żadnej, organista lub inny jaki kościelny sługa.

Panowie wieley i panie zapisywani byli na tych elekcjach protektorami i konsyljarzami, protektorkami i konsyljarkami różańcowymi, lubo więcej nic nie udzielali się tej konfraternji, jak że jej imion swoich pozwalali; celniejsi zaś obywatele miasta mieli sobie za honor być różańcowymi przeorami, przeoryszami, kantorami, kantorkami, podskarbinami, podskarbinami etc.

Co zaś do samego nabożeństwa, nie wstydziło się go nawet wieley panowie i panie, szlachta i szlachcianki bywali na różańcach, a niektórzy z pomniejszych nawet go z innymi śpiewali. Księżna wojewodzina ruska Czartoryska i księżna podkanclerzyna litewska także Czartoryska z córkami swemi widywane były często na różańcu, siedzące w ławkach z innemi różnej kondycji siostrami różańcowymi, nie śpiewały go, prawda, ale mówiły na książkach i paciorkach.

Paciorki różańcowe służyły do rachowania paciurów, spuszczać po jednym paciorku na sznurek nawleczonym z jednego końca sznurka ku drugiemu za każdym odśpiewanym lub odmówionym *Ojcie nasz* albo *Zdrowaś Marja*. Te paciorki, które oznaczały *Ojcie nasz*, były większe, te, które oznaczały *Zdrowaś Marja*,

były mniejsze, ażeby mówiący lub śpiewający różaniec, nie miał przyczyny zatrudniać liczbą uwagę, ale wszystkę obracał ku nabożeństwu, mogąc palcami poznać jedno po drugim, co powinno następować. Oba końce sznurka wraz były ujęte znacznijszymi paciorkami, krzyżyk formującymi, u którego wisiał medal srebrny lub mosiężny, jak kto chciał i mógł swoje paciorki przyozdobić. Te paciorki powinny być benedykowane i o obraz Najświętszej Panny pocierane, jeżeli noszącym one miały zyskiwać odpusty, prócz różańca tymże paciorkom w szczególności nadane. Kto paciorki nosił w kieszeni, mniej miał odpustu, kto u pasa, miał więcej. Dla zyskania tedy jak najwięcej odpustów od wielu nawet dystyngwowanych szlachty noszone bywały u pasa, mianowicie od osób podeszłych i od towarzystwa chorągwi pancерnej królewskiej, stojącej w Krzepicach i w Wieruszowie, których nabożeństwo do Matki Boskiej z Jasnej Góry cudami tam słynącej bliżej dosięgało.

Procesje różańcowe bywały dwa razy do roku, w święto różańcowe i w święto Nawiedzenia Najświętszej Panny. Odprawiały się te procesje tylko po miastach, w których się znajdowali dominikanie, prowadzone były z kościoła dominikańskiego do drugiego jakiego odleglejszego dla wyciągnięcia wygodniejszego parady procesjonalnej, na którą sadzono się jak najokazalszą. Po odbytej procesji bracia i siostry z składki wspólnej sprawiali ucztę dla tych, którzy w tej procesji najwięcej pracowali, jako to starszyzna bractwa, marszałkowie, których powinnością było utrzymować porządek procesji, tudzież paradować przed nią z laskami długimi i grubymi, farbą i pozłotą ozdobionymi, i chorążowie z chorążonkami, którzy i które nosły chorągwie brackie lekkie z kitajki nakształt chorągwi żołnierskich. Należeli także do tej uczty ci wszyscy, którzy się do kosztu jej hojniej przyłożyli. Na tej uczcie najlepiej się powodziło księdzu przeorowi z księdzem promotorem i braciom starszym a siostronom młodszym. Reszta czeready była raczej serwitorami niż uczestnikami. I takie uczty nie bywały, tylko po wielkich miastach; ani się do nich mieśzał inny stan, tylko sam miejski cechów pospolicie szewskiego i rzeźnickiego, którzy w takowych ucztach znajdowali podłości swojej jakoweś uwielbienie.

Bractwo szkaplerzne miało także do siebie wielką cizbę różnej kondycji osób, lecz nie miało żadnego różniącego się szczególnie od ordynaryjnego kościelnego nabożeństwa, ani procesjów ani ucztów. Obowiązki tego bractwa były: pościć środy na maśle i nosić szkaplerz na gołem ciele; lecz go ztrudna kto nosił tak, tylko na koszuli, dla gadu, który się w nim zapleniał. Były to dwa kawałki sukna wyszyte, mające na sobie imiona Maryja i Jezus. Te dwa kawałki sukna, na dłoń ręki duże, spajały dwie wstążki lub dwie tasiemki z ramion wiszące; jeden powinien być na piersiach, drugi na plecach; same niewiasty tak go nosiły, a z tych proste czyniły część stroju swego z szkaplerzy, używając do nich wstążek jedwabnych i nosząc je na koszuli, sznurówką nad piersiami i z tyłu nad łopatkami wykrojoną nie-

zakrytej; mężczyźni zaś, osobliwie chłopi, nosili szkaplerz przez ramię prawe pod lewą pachę przełożony, aby po kobiecemu noszony z ramienia nie zmykał i w robocie im nie przeszkadzał; to jest nosili go tak, jak noszą żołnierze ładownice. Kto nie chciał środy pościć, powinien był za to odmówić siedem razy *Ojciec nasz*, siedem razy *Zdrowaś Marja* i raz *Wierzę w Boga*. Innych obowiązków to bractwo nie miało.

Opisałem dlatego najmniejsze szczególności bractw znacznie-
szych, żeby wiadomość onych została potomności, jeżeliby czasem zaginęły, co zdaje się wróżyć zajmująca się powszechnie w narodzie polskim niepobożność.

Można także przyłączyć do bractw *Montem pietatis*, przyłączoną do bractwa św. Rocha u księży misjonarzy w Warszawie: zawiaduje tą Górą pobożności jeden misjonarz z bracią starszymi bractwa wyżej wyrażonego św. Rocha. Nabożeństwo św. Rocha zawisło tak jako innych bractw na śpiewaniu kościelnem, wotywach i pewnych pacierzy odmawianiu na honor św. Rocha. Zaś *Mons pietatis* jest to skład kapitału pieniężnego od różnych osób pobożnych zebranego. Dwa ma końce chwalebne i użyteczne ten kapitał: pierwszy jałmużnę dla ubogich, którzy się żebrać publicznie wstydzą, drugi pożyczanie pieniędzy pilno onych potrzebującym bez prowizji. Ale trzeba dać zastaw, któryby dwa razy wart był tej kwoty, której kto pożyczania żąda. Takę na fant w zastaw idący kładzie misjonarz prefekt *montis pietatis*, wzywając do taksowania fantu osób, znających się na nim. Po wyszłym roku, kto fantu nie wykupuje, idzie *in fiscum montis pietatis*. Po sprzedaniu fantu, jeżeli większą kwotę wezmą za niego, niż jest pożyczona, oddają, co jest nad pożyczoną kwotę, pożyczającemu czyli właścicielowi fantu, jeżeli mniejszą, szkoda zostaje przy Górze pobożności. Aby zaś ta Góra nie zmaląła i nie obróciła się w monadę, kapitał jej oblokowany jest na prowizji i tylko sama prowizja po tych uczynnościach cyrkuluje; dlatego nie jest w stanie wygadania wielkim potrzebom, tylko małym. Ta Góra pobożności utworzona jest około roku 1743.

Drugi fundusz pobożny pod tytułem Dzieciątka Jezus założony jest od pewnego misjonarza, Bodue nazwanego, rodem Francuza. Ten ksiądz, wzruszony miłosierdziem nad dziećmi podrzyconemi, z rozpusty nabytemi, które matki tając wstyd na ulicę wyrzucały, a czasem w Wiśle albo lada gdzie w błocie topiły, co także i rodzicy dobrego małżeństwa ubóstwem ściśnieni dzieciom swoim czynili, zawiązał się do kwesty na te dzieci. Udał się do królowej, wielce pobożnej pani, tudzież i do innych panów i pań, począł zbierać takowe dzieci, oddawał je kobietom najętym do karmienia piersią, którym płacił na miesiąc od jednego dziecięcia po złotych 8. Wkrótce to jego ułożenie wzięło wzrost spory, kupił kamienicę pod dominikanami obserwantami wedle magazynu królewskiego, Obożne nazwanego, osadził w niej trzy panny miłosierne, pospolicie szaremi siostrami od sukien takiego

koloru zwane, zlecił im wychowywanie do większych lat dzieci od mamek odebranych, opatrzył tak panny miłosierne jako też dziatki przyzwoitemi wygodami. Przybywało znacznie funduszu, ale też przybywało i dzieci, których niemal co noc po kilkoro pod tęż kamienicę podrzucano, tak iż już w spomnionej kamienicy pomieścić się nie mogły.

Zaczem ksiądz Bodue wspierany zewsząd jałmużnami wziął rezolucją nierównie od pierwszej większą. Okupił wielki plac w tyle kościoła misjonarskiego, wymurował na nim obszerny i porządny szpital, do którego przeniósł nie tylko dzieci podrzucone, ale też i chorych po ulicach leżących; a dalej postępując w miłosierdziu, umówiwszy się z urzędami Warszawą rządzącymi, tudzież mając asekurowaną jałmużnę tygodniową od wszystkich kupców i znacznie-szych obywatelów warszawskich, aby ich tylko uwolnił od naprzykrzenia mnóstwa żebraków po ulicach się i domach włóczących, zwerbował 12 żołnierzy, tym kazał zbierać żebraków oboję płci, kaleków i zdrowych, osadzając ich w nowym szpitalu. Wkrótce napełnił nimi salę potężną do trzechset osób obejmującą, oczyścił Warszawę z włóczęgów, z której zdrowi i młodzi, których żołnierze nie zachwycili, puciekali. Ale siebie tak obciążył tem ubóstwem, że nie mogąc go wyżywić musiał rozpuścić, ile gdy w jałmużnach przyrzeczonych był zawiedziony. Żarliwość albowiem tych, którzy miesięczne jałmużny dla żebraków płacić mu przyrzekli, ustała nie trwając dłużej nad rok, skoro żebracy wrzeszczeć im nad uszami przestali; i mieli sobie za równą subjecją brzęk puszeki szpitalnej co miesiąc jako też i dziadowskie wrzeszczenie.

Co zaś do podrzuconych dzieci i chorych, wątek nie ustał. August III naznaczył temu szpitalowi corocznie z Wieliczki 2 tysiące beczek soli. Panowie za jego przykładem ofiarowali znaczne sumy i rozmaite prywatne jałmużny wspierają go nieustannie. Tenże król nadał pomienionemu szpitalowi *privilegium honestatis*, że dzieci wychodzące z niego poczytane są za podczciwe i mogą być przyjęte do wszelkich rzemiosł, byle tylko miały świadectwo na piśmie, że są wychowane w tym szpitalu. Jakoż wiele znajduje się między niemi dobrego łoża, które rodzicy nędzą ściśnieni do niego małą jaką opłatą wkupują albo wpraszą bez opłaty albo nie mogąc wprosić podrzucają. Jest koło wydane na ulicę, blisko niego dzwonek z sznurkiem, w to koło należy dziecko włożyć i zadzwonić; na głos dzwonka wychodziła siostra miłosierna i dziecię brała; lecz gdy zaczęto zbyt wielką moc dzieci podrzucać co noc w to koło tak, że ich mamkami opatrywać nie można było, postawiono straż niedaleko koła dla chwytania osób podrzucających. Gdy uchwycą taką osobę, trzymają do dnia, egzaminują, co za jedna; i jeżeli jest mająca męża i sposób do życia, dawszy napomnienie należyte z dzieckiem do szpitala wyganiają; jeżeli bez męża matka trafunkowa, biorą ją za mamkę do własnego dziecięcia, przydając drugie szpitalne do karmienia. Jeżeli zaś przy dziecięciu podrzuconem w kratę znajdują czerwoną złotą, osobę, choćby schwytaną, wolno

puszczają a dziecko przyjmują. Wiele z takowych dzieci źle urodzonych na ostrość powietrza wystawionych umiera, dlatego małe wkupne postanowiono. Są także rodzice znaczni majątni, którzy nie lubiąc słuchać płaczu dziecinnego w domu oddają swoje dzieci na wychowanie do tego szpitala, płacąc od nich według zgody lub szcudrośliwości; takich dzieci nie mieści się więcej w jednej izbie jak ośmioro; każde ma swoją mamkę a czasem i piastunkę, pod dozorem jednej statecznej białogłowy świeckiej, która ma złożenie osobne przy izbie, panny albowiem miłosierne nie mają za przyzwoitość dla siebie opatrywać dzieci przy piersiach i w pieluszkach będące; dopiero aż wyndą z tego pierwszego dzieciństwa trybu, biorą je w swój dozór, ucząc pacierza i innych powinności religji; z takowych pensjów od dzieci wspomnianych okrawa się cokolwiek szpitalowi. Zdarza się też i to, acz nie często, że osoby nieznanome przychodzą albo i zdaleka przyjeżdżają do tego szpitala; w wielkim sekrecie, ile ten w zgrai kobiet może być utajony, składają w nim plód swój także pod sekretem nabyty, a uwolniwszy się od brzemia powracają tam, skąd się wzięły, zapłaciwszy szpitalowi sowicie za swoje oczyszczenie i na konserwację względną depozytu złożonego.

Gdy dzieci podrastają, dziewcząt zaraz uczą różnych robót, chłopców nie uczą żadnych, bo niema w tym szpitalu żadnych rękodziel męskich, tylko kobiece szycie i haftowanie na stębenku i krosienkach. Tak chłopców jak dziewczęta, które wyrastają na rzeźwiesze i roztropniejsze, rozbierają za zaręczeniem panowie i panie w służby, albo rzemieślnicy chłopców do rzemiosł; które zaś są tępego dowcipu i niezgrabne, rozdają na wsie misjonarskie, panien miłosiernych innych szpitalów, lub też i szlacheckie.

Nie opisuję dawniejszych szpitalów, klasztorów i funduszów miłosiernych tak w Warszawie jako też po różnych miastach całego państwa znajdujących się, gdyż te nie są skutkiem pobożności za czasów Augusta III do opisu mego przedsięwziętej, ale dawniejszych wieków. Zamiarem moim jest pisać o tem, co albo nowego nastąpiło pod panowaniem tego króla, albo też, choć dawniej było, ale się potem odmieniło lub wcale zaginęło.

Trzecia fundacja nowa, przedtem w Polsce nieznaną, ukazała się w Warszawie około roku 1749 Panien Kanoniczek. Fundatorką tych panien była Zamoyska ordynatowa wdowa. Kupiła dla nich Maryenwill i kilka wiosek za Wisłą; w środku tego Maryenwillu, (który jest jak rynek warszawski opasany z trzech stron kamienicami, a z czwartej murem), wymurowała kaplicę porządną do nabożeństwa. Dwa chóry ustawiła tych panien: jeden wyższy, drugi niższy. Panny wyższego chóru powinny być wysokiego urodzenia, mają pensji rocznej po 100 czerwonych złotych i wszelkie wygody, jadają u jednego stołu, jest wszystkich 12. Panny niższego chóru powinny być szlachecianki, acz mniej znacznego urodzenia, biorą pensji rocznej po 600 złotych, mają osobny stół, wygody pomiarkowańsze, obowiązków więcej nad pierwsze, a jest ich tylko 6.

Wszystkie chodzą do chóru, który odprowadzają w języku polskim mową głośną, nie śpiewaniem, na jutrznią w nocy nie wstawają, odbywając ją zrana o godzinie szóstej. Wolno im na miasto wyjeżdżać, do czego mają karety, i te tylko służą wyższemu chórowi, albo wychodzić pieszo, które są w niższym chórze. Wszystkie, wychodząc za fortę, biorą pozwolenie od ksieni z wyznaczeniem godziny, na którą powrócić do klasztoru powinny. Na żadnych balach i widowiskach publicznych znajdować się im nie godzi. Mężczyzn wolno im przyjmować za fortę do sali na to naznaczonej; które zaś są w leciech podeszłe, mogą takie wizyty przyjmować w swoich stancjach, biorąc pozwolenie, od ksieni, miarkującej rozsądkiem między osobą przyjmującą i oddającą wizytę takowe pozwolenie. Ksieni może zawsze, kiedy chce, przyjąć wizytującego mężczyznę do własnych pokojów swoich.

Ksieni, obrana z wyższego chóru, jest dożywotnia, i ta tylko jedna zaraz po swojej elekcji czyni szlub czystości, w czym nie ma żadnej przykrości, gdyż ksienią nie obierają, tylko taką, która już dobrze na piąty krzyżyk lat zajęchała. Inne kanoniczki szlubów czystości nie czynią, bo i owszem tej fundacji miała koniec fundatorka ułatwienie zamężcia damom wysokiego urodzenia a szczupłej fortuny. Lecz ten koniec nie ma skutku, cisną się tam damy z znacznymi posagami i urodą niepoślednią, chcące prędzej na publicznem miejscu wynaleźć męża do swego upodobania niż w kącie domowym. Są też drugie i niezgrabne i w lata podeszłe, którym stracona do zamężcia nadzieja podała ten sposób dewocji, jakążkolwiek jeszcze otuchę do pozyskania męża zostawiający; i takie są to niby zarody na przyszłą pannę ksienią.

Ale żadnej podupadłej fortuny niemasz, chyba w dolnym chórze. Krój sukien i strój głowy jest taki jak innych dam świeckich. Idąc do chóru, kładą na kornet welum białe kitajkowe i na plecy płaszcz długi błękitny także kitajkowy. Kolor sukien dwoisty tylko: biały lub czarny. Kapelanów i kaznodziejów zażywają z różnych klasztorów albo świeckich księży.

Rząd ekonomiczny sprawują przez jednego szlachcica pensjonowanego, który ma rezydencją swoją za murem tuż przy klasztorze, z inną czeladzią służącą, i nazywa się komisarzem. Aspirantki do tego zgromadzenia powinny szlachetność swoją wywieźć do wyższego chóru z ośmiu, a do niższego ze czterech herbów, która trudność podobno jest największą przyczyną, że się tam żadna z domów podupadłych nie znajduje, bo w Polsce, gdzie częste ognie i rewolucje, wojenne niszczą archiwa publiczne, żadnego opatrzenia nie mające, ciężki jest wywód ośmiorakiego szlachectwa nawet wielkim panom.

Rozumiem, że nie zbłądził od materji, podciągając pod tytuł pobożności szpital, *montem pietatis* i fundusz dla panien kanoniczek, bo miłość bliźniego, z której pochodzi litość nad nędznymi, jest fundamentem pobożności chrześcijańskiej. A lubo fundacja Pann kanoniczek nie ściąga się do nędznych osób, to się dzieje

przypadkiem, który często przewraca dobre zamiary. Intencja jednak fundatorki była, uważwszy ją ściśle, poratowanie nędznych osób; niemasz bowiem nędzniejszego stanu, jak panny wysoko urodzonej a bez posagu.

O bractwach to jeszcze mam przydać, iż te miały prócz nabożeństwa szczególnego, każdemu bractwu z osobna służącego, jedną powinność powszechną, to jest, iż zmarłym braciom i siostram zasłużonym asystowali do pogrzebu z świecami i chorągwiemi darmo, tym zaś, którzy nie byli w bractwie, albo, choć byli, nie mieli w niem zasług, asystowali za rekwizycją i zapłatą.

Opisawszy pobożność w pryncypalniejszych jej częściach i widoczniejszych, obracam pióro moje do innych zwyczajów, które także poniekąd przynajmniej z dobrej intencji należały do pobożności.

O postach prywatnych i dobrowolnych.

Najpryncypalniejszy był post prywatny w środę; ten dzień bardzo wielką miał czcicielów swoich frekwencją, ponieważ był od dwóch bractw uprzywilejowanym, od bractwa szkaplerznego i od bractwa opieki św. Józefa. Nawet po wielkich domach ten dzień obserwowano, niższej zaś fortuny i kondy ludzie niemal wszyscy go zachowywali, poszcząc na maśle. Jedni zachowywali go szczególnie dla dostąpienia odpustu, drudzy do zysku duchownego łączyli interes doczesny, aby ochronić kapłona lub pieczeni.

Po środzie miejsce trzymała sobota, od wielu dewotów i dewotek na samych tylko postnych potrawach z olejem lub oliwą, a od niektórych od tego tylko na suchych pokarmach obchodzono. Ten post nie wypływał z żadnego bractwa, tylko właśnie z dobrowolnego postanowienia albo szluby, dla czego wielu, co się dyspensowali jeść w piątek z masłem, w sobotę nigdy mastnych potraw, chociaż z przymusem, jeść nie chcieli.

Także w znacznem używaniu były nowenny, septenny i quindenny. Były to posty poprzedzające albo też następujące po pewnych świętach do jakiego świętego mającego do siebie uprzywilejowane nabożeństwo z postami jeden dzień w tydzień, na zjednanie sobie łaski Bożej przez przyczynę tego świętego w powszechności albo też w jakim skutku szczególnym, którego kto pragnął. Ciemność, która mi się zrobiła w opisowaniu ogólnem tych postów, objaśni się w szczególniejszem onych wyłuszczeniu. Tak naprzykład szukający w smutku pocieszenia albo determinacji w wątpliwem do stanu powołaniu pościł 9 wtorków idących przed świętem św. Antoniego Padewskiego, lub następujących po tem święcie na honor tego świętego, do czego którzy mogli jako to rezydujący w miastach przydawali w każdy taki wtorek spowiedź i komunią, co się nazywało nowenną. Ten święty cudotwórca bywał także wzywany innym krótszym sposobem w nagłych przygodach: gdy komu pieniądze zginęły albo koń albo inna rzecz jakowa albo się kto znaj-

dował bliskim jakiego nieszczęścia, dawał jałmużnę zakonnikom św. Franciszka, za którą natychmiast szli zakonnicy przed obraz św. Antoniego i śpiewali hymn *Si quaeris miracula* z wierszem i modlitwą do tegoż hymnu należącą. Bardzo często doznawano skutku pożądanego, niemal wraz z śpiewaniem hymnu następującego.

Septenna znaczy siedem środ na poście odbytych, do opieki św. Józefa, do św. Barbary od nagłej śmierci, do św. Anny albo do innego jakiego świętego z przydatkiem gdzie komu była sposobność spowiedzi w ten dzień i komunji.

Quindenna — pięć piątków ściśle nad inne albo też wcale suchotami poszczonych. Takową quindennę z spowiedziami i komunjami odprawiały najczęściej żony pragnące potomstwa albo też ciężarne do św. Ignacego dla szczęśliwego porodzenia. Pięć piątków marcowymi zwanych zachowywało bardzo wiele osób do Serca Pana Jezusowego tak ściśle jak wyżej opisana quindenna. Zaczynał się ten post od pierwszego piątku przypadającego w marcu i ciągnął się przez pięć piątków nieprzerwanie po sobie następujących, do których to piątków marcowych należało nabożeństwo w piątek takowy w kościołach XX. Pijarów odprawowane, z wotywy śpiewanej z ekspozycją Najśw. Sakramentu, z kazania i procesji po kościele złożone, z przydatkiem niedzieli drugiej po Wielkiej Nocy takiemże nabożeństwem obchodzonej, które to nabożeństwo obchodzili nie tylko ci, którzy w bractwo Serca Pana Jezusa byli wpisani, ale i tacy, którzy się na niem znajdowali.

Wylczyłem posty dobrowolne, nie wspomniawszy postów z przykazania, bo te nie należą do dewocji, ale do obligacji.

Między gatunkami rozmaitej dewocji wyżej opisanej było także w niemałym używaniu Tercjarstwo i Dewocja. Tercjarstwo było to przyłożenie się do jakiego zakonu, nie stając się zakonnikiem. Obowiązek był tylko nosić pod suknią świecką, jakiej kto zażywał, pasek tego zakonu, do którego się kto przyłożył, albo też suknią koloru zakonnego, albo kaftanik cienki na koszulę krojem jakimkolwiek, kolorem zaś do obranego sobie zakonu stosownym, przytem była obligacja, ale nie pod grzechem koniecznie, odmawiania pewnych pacierzy, zachowania pewnych postów, świadczenia podług możności łask zakonowi polubionemu, promowania czci i zachęcania innych ku świętemu Patrjarsze, a za to każdy terejarz albo terejarka należał do wielkich zysków duchownych, które ten zakon pracował; i po śmierci wolno było terejarzowi lub terejarce kazać się pochować w zupełnym habicie zakonnym, chociażby go nigdy nie nosił za żywota. Niewiasty podupadłej fortuny, którym nie stało na modne stroje i panny podstarzałe okrywały się pospolicie sukniami rasowemi koloru jakiego zakonu i nazywało się takowe strojenie chozić w szarzyźnie, lubo taką szarzynę nosiły acz bardzo rzadko i majątne panie, jak pamiętam Szembekową kanclerzyną koronną mieszkającą w Bubicach pod Warszawą, Korzeniowską podstoliną łucką na Wołyniu i kilka innych,

a te chodziły w szarzyźnie nie z żadnego interesu doczesnego, ale czysto z nabożeństwa.

Dewotki i dewotowie byli toż samo co tercjarze z tą różnicą, że i suknią szarą nosili i mieszkali przy jakich klasztorach albo wcale w klasztorach, jedynie pilnując nabożeństwa, oddalwszy się od domowych interesów, a czasem i od substancji dzieciom za żywota ustąpionej. Takim dewotem był Sokoliński chorąży poznański blisko przez 23 lat w Choczu u reformatów, wymurowawszy dla siebie małą oficynkę przy ogrodzie, w której pobożnego życia dokonał. Drugi na Wołyniu w Krzemieńcu Węclawski czyli Woyślawski, tercjarz oraz i fundator tamże reformatów. Trzeci Raczyński wojewodzie poznański, ojciec Raczyńskiego Marszałka Nadwornego Koronnego, który swoją dewocją ustąpiwszy synowi substancji zaczął pod Augustem III, a skończył pod Stanisławem Augustem w Łowiczu u bernardynów, na których klasztoru reparacją wielełożył. Ale ten nudził w swojej dewocji, odmieniał rezydencją swoją do kilku klasztorów, przesiadywał długie czasy po domach swoich pokrewnych albo synowskich, nareszcie w łowickim klasztorze życia dokonał. Dewotów niewiele bywało, dewotek sto razy więcej i wyjąwszy niektóre prawdziwie pobożne, drugie były obłudnice, zwadliwe, plotuchy, oszczerczynie i pijaczki, jak zwyczajnie wszędzie się mięsza zło do dobrego.

O pasjach i kapnikach.

Pasja pospolicie nazywa się nabożeństwo w wielki post używane. Po kościołach katedralnych i niektórych kolegiackich jako to w Warszawie u św. Jana, najprzód ksiądz po niesporach albo komplecie według dnia, w którym się pasja odprawuje, wyjmuje *Sanctissimum z Ciborium*, kładzie do monstrancji i prześpiewawszy *O salutaris Hostia* stawia na ołtarzu, a sam się lokuje na miejscu celebransowi przyzwoitem, toż dopiero kapela na chorze zaczyna grać w łacińskim języku rozdział wyjęty z Ewangelji o męce Chrystusowej do not muzycznych ułożony, na trzy części podzielony, po których odgraniu następuje kazanie, po kazaniu procesja; po procesji śpiewa kapłan z ludem *Święty Boże*, potem *Salvum fac* i dawszy benedykcją ludowi chowa *Sanctissimum* do puszki, którą znowu wzięwszy do rąk obraca się ku ludowi, śpiewa *fiant Domine* i powtórzywszy benedykcją chowa puszkę *cum Sanctissimo* do *ciborium*, powracając *cum fero* do zakrystji, a lud zaczyna jaką pieśń w języku polskim o męce Pańskiej, która jest końcem nabożeństwa.

Po innych kościołach zakonniczych lub świeckich księży ten sam porządek czyli skład pasji nabożeństwa, co i w katedrach dopiero opisany, z tą tylko różnicą, że kapela nie gra pasji ewangelicznej, ale ludzie przemianym chorem, niewiasty z mężczyznami, śpiewają polskim językiem pieśni złożone z tajemnic męki Chrystusowej, w niektórych kościołach na 5 części, jako to u OO.

dominikanów, w niektórych na trzy jako po wszystkich innych podzielone, za każdą częścią o męce Pańskiej przypadają cztery strofy z hymnu o Najśw. Pannie Bolesnej, znajomego z początku swego *Stała Matka boleściwa*, potem następuje hymn wyrażający lament duszy pobożnej nad cierpiącym Chrystusem. Po odśpiewaniu tym porządkiem ułożonych trzech lub 5 części pasji śpiewają 5 razy *Któryś cierpiał za nas rany, Jezu Chryste zmiłuj się nad nami*. Za tem zaczyna się kazanie, potem procesja, po której pieśń *Wisi na krzyżu*, po pieśni *Święty Boże*, dalej wszystko tak, jak w kościołach katedralnych.

Kapnicy od kap, któremi się przykrywali, tak nazwani. Byli to ludzie rozmaici, z nabożeństwa lub z nakazu spowiedniczego za grzechy swoje publiczną dyscyplinę w kościołach podczas pasji czyniący. Kapy były robione z płótna najwięcej prostego i grubego szare farbowane. Ale, że ambicja ludzka wszędzie się wciska, nawet i tam, gdzie się tylko powinien wydawać duch pokorny i serce skruszone, przeto też i te wory pokutne, kapami nazwane, nie wszystkie bywały z grubego płótna i szare, bywały drugie z płócien cienkich glancowanych różnego koloru: czerwone, zielone, błękitne i granatowe. Kaptury należące do tych kap bywały czasem kitajkowe lub grodetorowe. Krój kap był taki jak *nobile Veneziano*, którego używają na reduty. Ubierano się w kapy w jakiej izbie, kościoła bliskiej, takim sposobem: najprzód trzeba było koszulę obrócić rozporem na plecy, podobnież przewlec suknią, na nią wdziać kapę także z tyłu rozpór mającą, tak że plecy zostawały obnażone; potem szedł po kapie pas, jaki kto miał, albo też pasek jaki sznurkowy lub rzemienny dla niepoznaki. Na głowę wdziewany był kaptur zasłaniający całą głowę i twarz z oczami wyciętymi w płótnie lub materji kaptura dla patrzenia. Ta część kaptura, która twarz zakrywała, była długa wisząca do wół piersi mogąca się odchylić z twarzy w górę i założyć na głowę, kiedy kto w izbie przed pasją nie miał przyczyny chronienia się być poznany albo też dla posiłku chciał się napić, w czem kapnicy osobliwie prostej kondycji czasem miarę przebierali. Druga część kaptura wisiała z tyłu ścinana ukośnie po ramionach aż do pasa i zakrywała plecy gołe w czasach, gdy ich do dyscypliny odkrywać nie trzeba było. Gdy już był czas wychodzić na pasją, szli kapnicy tym porządkiem: najprzód szedł jeden z krzyżem, bardzo często bosemi nogami, wedle niego dwaj kapniczkowie mali, chłopcy z świecami w lichtarzach, za tymi ciągnął się orszak kapników parami; na ostatku idący dwaj podpierali się laskami długimi; ci oznaczali marszałków i mieli urząd szykowania kapników w kościele, jak mieli klęczeć.

Gdzie była mniejsza liczba kapników, klękali we dwa rzędy wedle ławek; gdzie większa, we trzy rzędy. Wychodząc z izby, zaczynali jaką pieśń o męce Pańskiej, a wchodząc w drzwi kościelne przestawali śpiewać, aby śpiewającym w kościele pasją zwykle przed wniściem kapników zaczynaną nie przeszkadzali. Gdy się już

uszykowali kapnicy w porządku, najprzód za daniem znaku od marszałka przez zapukanie laską w posadzkę kościelną, kładli się wszyscy krzyżem i poleżawszy tak do pewnych słów w śpiewaniu kościelnem nadechodzących, za takimże znakiem od marszałka danym podnosili się na kolana i zawiązawszy kaptura z pleców na ramię, biczowali się w gołe plecy dyscyplinami rzemionami albo nicianami, w powrózki kręte splecionemi. Niektórzy końce dyscyplin rzemienne przypiekali w ogniu dla dodania większej twardości albo szpilki zakrzywione w dyscypliny niciane i rzemienne zakładali, ażeby lepiej ciało swoje wychłostali, które czasem takowem ćwiczeniem silno przykładanem aż do żywego mięsa i szkurłatów wiszących sobie szarpali, brocząc krwią suknie, kapę i pawiment kościelny. Biczowanie trwało mało mniej kwadransa, ustawało na ostatniej strofie hymnu za daniem znaku przez marszałka, którego jeżeli który kapnik niesłuchając dłużej się nad innych biczował, marszałek zbliżył się do niego i ściągnawszy z ramienia kaptur zawiniony zasłonił mu plecy, aby się nad drugich nie przesadzał i z wszystkimi się stosował. Po biczowaniu klęczeli kapnicy pewną chwilę, potem się znowu kładli i leżeli krzyżem pewną chwilę, odbierając zawsze znaki od marszałka stukaniem laski do każdej czynności. Biczowali się trzy razy przed kazaniem i procesją, dwa razy po procesji, ostatnie biczowanie było najdłuższe. Gdzie była pasja złożona z 5 części, tam się biczowano do procesji 5 razy, po procesji 2 razy. Po skończonem biczowaniu kapnicy podnosili się na nogi, stali w miejscu, przystępując parami do całowania krzyża albo też po trzech, jeżeli w 3 rzędy klęczeli, który krzyż kładziony był na czele kapników na poduszce i kobiercu. Żaden kapnik nie ruszył się z miejsca swego do całowania krzyża, póki go marszałek za nim następujący nie trącił laską w nogę, a to dla zachowania od tłoku i uniknięcia zamieszania; pocałowawszy krzyż, każdy wracał na swoje miejsce; marszałkowie na ostatku całowali. Gdy się skończyło całowanie krzyża, wychodzili kapnicy z kościoła tym porządkiem, którym przyszli, do izby ubieralnej, w której składali kapy. Te kapy bywały kościelne albo też do bractwa jakiego w tym kościele będącym należące; rozdawano *gratis* co podlejsze, lecz piękniejszą chcąc dostać musiał zawiadującym niemi wetknąć co w rękę, ponieważ bywał do nich nacisk większy jak do podłych, którzy najmowali ich sobie na cały post, a niektórzy miewali swoje własne, nie chcąc cudzego waporu i krwi w kapie zostawionego brać na siebie.

Zdarzało się, acz rzadko, że panny płocho pobożne skrycie ubierały się w kapy, na suknię męską włożone, łączyły się z kapnikami i wraz z nimi publiczną czyniły dyscyplinę. Jako jednak z natury są miłosierne, tak się też i nad swoim ciałem pastwić nie raczyły, głaszcząc się raczej miętko dyscypliną po plecach niż biczując, a ciałem delikatnem i koszulą cienką wizerunek miłosny zamiast pokutnego wystawując.

W Wielki Piątek kapnicy z każdego kościoła osobno obchodzili groby Chrystusowe po innych kościołach, idąc procesją parami i niosąc krzyż przed sobą. W każdym kościele, w którym grób odwiedzali, biczowali się raz. Ksiądz asystujący swojej procesji powiedział krótko exhorty. po której tymże porządkiem, którym przyszedli, wychodzili z jednego kościoła po drugiego, śpiewając przez drogę jaką pieśń o męce Pańskiej, a na wchodzeniu do kościoła przestając śpiewać. Nie z wszystkich kościołów ale z niektórych tylko procesja kapników oprócz krzyża z wizerunkiem Chrystusowym na czele procesji niesionego miewała drugi krzyż wielki, grubości belki z tarcie spajanych dla lekkości zrobiony, który w pośrodku kapników dźwigał jeden kapnik, idąc nie wyprostowany ale w pół człeka pochylony tak, jak nam malarze wystawują Chrystusa krzyż na Kalwarię niosącego. Dlatego pod ten krzyż dobierano chłopca mocnego. Miał na głowie czyli raczej na czapce kapturem przykrytej koronę cierniową, łańcuch długi i gruby przez ramię pod pachę przepasany, końce krzyża unosił za nim inny kapnik, wyrażający Cyreneusza, a dwaj kapnicy dobyte pałasze niosący na ramieniu oznaczali żołnierzy, na Kalwarię Chrystusa prowadzących, z których jeden trzymał w ręce koniec łańcucha. Wyobrażający Chrystusa kapnik udawał także Jego pod krzyżem upadania, a na ten czas jeden żołnierz targając łańcuchem i bijąc nim o krzyż czynił duży łoskot, drugi uderzając płazem po krzyżu i plecach lekkimi razami nosiciela krzyża wołał na niego głosem donośnym: postępuj Jezu. Wtenczas nosiciel, w samej rzeczy pochyłym chodem znużony, odpocząwszy nieco powstawał i dalszą drogę czyli procesją kończył.

Jeżeli w kościele, do którego wchodziła procesja, był wielki tłok ludu albo miejsce lub wniście do kościoła ciasne, że się kapnik z krzyżem wygodnie do niego wprowadzić nie mógł, zostawał przed kościołem. Na ten czas mógł sobie odpocząć, posiedzieć, tabaki zażyć, a czasem z jakim miłosiernym pijakiem kufel piwa wydusić. Trafiało się i to, acz rzadko, że dźwigacz krzyża spragniony, nie znalazłszy dobroczyńcy, któryby go posilił, zostawiwszy krzyż i łańcuch pod kościołem, po biegł sam w cierniowej koronie do najbliższej szynkowni dla ochłodzenia pragnienia, a gdy nie zdążył ugasić go, nim procesja wyszła z kościoła, na ten czas reprezentanci żołnierzy pobiegłszy po niego, nie żartem płazami trzepiąc mu plecy, przygnali go pod krzyż, mianowicie jeżeli nie był z dewocji, lecz najęty.

Jeżeli dwie procesje kapnickie zeszły się razem do jednego kościoła i były tak uparte, że jedna drugiej nie chciała ustąpić pierwszeństwa, przychodziło między nimi do bitwy, do której oręża potoczne: kijów, pięści i kamieni używano. Nie trafiło się jednak nigdy, żeby się taka bitwa zbytnie krwią oblała, ponieważ mała liczba zapalczywych kapników od większej nierównie rozmaitego stanu osób, za procesją idących albo też z osobna groby obchodzących, z łatwością rozerwana i poskromiona bywała.

Groby obchodzili duchowni wszelkiego gatunku: biskupi, prałaci, kanonicy, księża świeccy, zakonnicy parami. Świeccy ludzie: senatorowie, rozmaitej rangi szlachta, panowie i panie w kompanjach zebranych albo też w domowych familjach lub pojedynczo, jak się komu podobało, jedni pieszo, drudzy karetami. Konwiktorowie pijarscy, jezuita i teataniści obchodzili z osobna każde zgromadzenie pod dozorem z asystencją swoich profesorów.

W każdym kościele na wnieściu do grobu siedziały panienki albo i damy wyższej rangi z tacami srebrnymi, kwestując jałmużnę od przechodzących na pożytek tego kościoła, w którym takową kwestę czyniły. Nie wołały one na nikogo o jałmużnę usty swemi, ale tylko brzękiem tacy o ławkę trącaną i czym kto znaczniejszy lub lepiej ubrany przechodził, tym większy brzęk na niego czyniły. Urodziwsze kwestarki zazwyczaj więcej ukwestowały niż te, którym na urodzie schodziło, przez wrodzoną ku urodzie skłonność nawet w pobożnej szczodrości. Przy niektórych grobach prócz kwestarek wyżej wyrażonych stawały z jakową relikwią, do całowania ludowi na stole obrusem, kobiercem i świecami przyzodobioną wystawioną, osoby zakonne, klerycy lub braciszkwowie; na gradusie przy takim stole położona była taca, na którą przystępując do całowania relikwii wrzucali jaki pieniądz podług woli swojej: szeląg, grosz albo trojak albo zostak bity, który miał w sobie waloru dwanaście groszy miedzianych i szelągów dwa. Przed każdym także grobem na kobiercu na ziemi rozpostartym leżał krucyfiks z tacą w końcu postawioną, na którą całujący krucyfiks rzucali podobnie jako wyżej pieniądze, a jeżeli gdzie nie było tacy pod krucyfiksem, rzucali je na kobierzec. Oprócz kwestarek i kwestarzów miejscowych każdego kościoła stawali obcy i obce od różnych bractw lub szpitalów po kruchtach i po różnych miejscach kościoła na linii do grobu prowadzącej.

Obchodzenie grobów zaczynało się od godziny pierwszej po południu i trwało do północy; a to tylko po wielkich miastach, gdzie się znajduje wielość kościołów i ludu. Za dnia obchodzili groby panowie i panie, w nocy służebna czeladź, której się razem z państwem obchodzić nie dostało. Gdzie w którym kościele znajdowało się jakie bractwo, tam o godzinie dziewiątej w nocy zaczynała się przed grobem pasja z biczowaniem kapników i kazaniem bez procesji, gdyż ta już pierwiej publicznie do innych grobów odprawioną była. W sobotę zaś przed zaczęciem rezurekcji śpiewano jakie pieśni u grobu o męce Pańskiej lub o Najświętszej Pannie bolesnej, albo też po niektórych kościołach kapela lub jaki lutnista przegrywał symfonje.

August trzeci, lubo był pan wielce pobożny i więcej jeszcze pobożną od niego była królowa, grobów jednak nie obchodzili. Sama królowa, kiedy bywała w Polsce, wraz z mężem królem, z synami i córkami, bywała na nabożeństwie rannem wielkopiątkowem w kościele farnym kolegjackim św. Jana. Tam po zaprowadzeniu Chrystusa Pana do grobu pomodliwszy się nieco, kró-

lestwo powracali z familją swoją do pałacu. Po obiedzie królowa z córkami przyjeżdżała znowu do tejsze fary, gdzie przykładnem nabożeństwem odkłęczawszy godzinę przed grobem, powracała do pałacu, a czasem nawiedzała te groby: u reformatów, u Panien sakramentek, u karmelitek i u wizytek.

Gdy zaś umarła w Saksonji, a sam król podczas siedmioletniej wojny z Prusakami mieszkał przez ten czas w Warszawie, grobów nie odwiedzał, jako się wyżej rzekło, tylko u augustjanów o godzinie piątej popołudniu bywał na lamentacjach, które wyborną sztuką muzyczną śpiewali jego nadworni śpiewacy i śpiewali z pomocą rozmaitych instrumentów. Warta postawiona u wszystkich drzwi kościelnych dla wstrzymania tłoku nie puszczala, tylko dystyngwowańszych i tych póty tylko, póki się kościół nie zageścił. To nabożeństwo z samej chyba dobrej intencji króla i z jednej osoby jego mogło być przyjemne Bogu. Król albowiem swoją przewyborną kapelą chciał uczcić tajemnicę grobu Chrystusowego i raz ukłękawszy na pulpicie modlił się nieporuszony i wlepiony w *Sanctissimum* przez całą tę kantatę. Inni zaś, którzy się dostali do kościoła, którzy byli senatorowie, ludzie dworscy, palestranci, dworacy, oficerowie, muzykańci od różnych dworów, a wielu między nimi dysydenci, obróciwszy się tyłem do grobu a twarzą do kapeli na chorze grającej jedni się delektowali melodją instrumentów i wdzięcznością wokalistów, drudzy posyłałi gestami umizgi nadobnym śpiewaczkom, zapomniawszy, że się znajdują w kościele, nie na operze. Przy grobie w kościele kolegjackim drabanci królewscy; u Panien benedyktynek w kościele św. Trójcy artylerystowie koronni od wstawienia do grobu Chrystusa aż do rezurekcji trzymali wartę. Gdziekolwiek zaś przed pałacami lub w koszarach stały sztyldwachy żołnierskie, wszędzie przez ten czas mieli karabiny rurami na dół, a kolbami do góry obrócone i żaden bęben żołnierski lub kapela po ten czas nie dała się słyszeć, stosując się do smutku kościelnego, który kościół katolicki na pamiątkę śmierci Chrystusowej w te dni oznacza.

Groby robione były w formę rozmaitą, stosowaną do jakiej historii z pisma świętego starego lub nowego testamentu wyjętej. Na przykład: reprezentowały Abrahama patriarchę, syna swego Izaaka na ofiarę Bogu zabić chcącego, albo Józefa patriarchę od braci swoich do studni wpuszczanego albo Daniela proroka w jamie między lwami zostającego, albo Jonasza, którego wieloryb połyka paszczką swoją i tym podobnie. Z nowego testamentu: górę Kalwaryjską z zawieszonym na krzyżu Chrystusem, z żołnierzami, którzy go krzyżowali i z tłumem żydostwa, którzy się temu krzyżowaniu przypatrowali; skałę, w której grób był wycięty i w którym ciało Chrystusa było złożone, z żołnierzami na straży grobu postawionymi, śpiącymi, albo też inną jaką tajemnicą męki lub zmartwychwstania Chrystusowego. Po niektórych kościołach takowe wyobrażenia były ruchome. Lwy błyskały oczami szklanemi, kolorami iskrzącemi się napuszczonemi i światłem ztyłu

oświeconemi, wachlowały jęzorami z paszczek wywieszonemi. Morze bałwany swoje miotało. Longin siedzący na koniu zbliżał się do boku Chrystusowego z włócznią. Marje, stojące pod krzyżem, ręce do oczów z chustkami podnosiły i jakoby zemdlone na dół opuszczały. W osobie albo, właściwie mówiąc, w wizerunku osoby, która była treścią historii i argumentem, wyrznięta była dziura okrągła w piersiach lub w boku tak wielka jak hostja, przez którą dziurę widzieć się dawała sama tylko hostja w Monstrancji będąca za tą osobą na postumencie postawionej. Ozdabiano te groby rzeźbą, malowaniem, arkadami w głęboką perspektywę ułożonemi, światłem rżęsiem lamp ukrytych i świec oświeconemi, a po bokach i z frontu kobiercami i szpalerami obsłaniali, przesadzając się jedni nad drugich w ozdobności grobów. Najpiękniejsze groby bywały u jezuitów i w Warszawie u misjonarzy. Pijarowie warszawscy nie stroili grobu z historii, tylko wystawiwszy *Sanctissimum* na ołtarzu wielkim dostatkami świec woskowych białych w pewnej symetrii tak na ołtarzu jako też na gradusach jego nastawiali.

O Kwietnej Niedzieli.

Należało było przed wielkim piątkiem w tem opisanu umieścić Kwietną Niedzielę, ale związek pasjów postnych z pasjami wielkopiątkowemi pociągnął do siebie jak sznurem pamięć moją, Kwietną Niedzielę z niej wytrąciwszy, do której teraz się wracam.

Kościół katolicki rzymski obchodzi w tę niedzielę pamiątkę wjazdu Chrystusowego do Jeruzalem, gdzie mu dziatki małe zachodząc drogę rzucały różdżki oliwne z śpiewaniem *Hosanna Synowi Dawidowemu*. Na tę tedy pamiątkę przy farnych kościołach, przy których znajdowały się szkoły parochjalne, zażywano do procesji chłopców kilku lub kilkunastu ozdobnie przybranych, z bukietami do boku przypiętymi i z palmami, chustką jedwabną lub muślinową fontaziem czyli węzłem wstążkowym przewiązanemi w rękę. Te dzieci, w pewnem zastanowieniu procesji, w rząd uszykowane prawily oracje wierszem złożone po kolei z jednego końca rzędu do drugiego ciągnionej, albo też przez trzeciego lub czwartego wyrwanej. Materją tych oracyj była wjazd Chrystusów do Jeruzalem i przyszła męka Jego. Po takiej deklamacji pobożnej też dzieci miawały inne oracje śmieszne: o poście, o śledziu, o kołaczach wielkanocnych, o nuży szkolnej i inne tym podobne. Gdy dzieci skończyły swoje perory, wysuwali się z tyłu na czoło doroślejsi chłopakowie, a czasem i słuszni chłopci ubrani po dziwacku za pastuchów, za pielgrzymów, za olejkarzów, za żołnierzy, przygotowując sobie brody z konopi albo z jakiej skóry sierścią okrytej, kozuchy futrem wywróciwszy. Ci zaś, co żołnierzy udawali, na głowie mając infuły z papieru wyklejone, obuch drewniany usmolony w rękę, z kart grackich zrobione flintpasy i ładownice i szablę przy boku drewnianą; którzy nie mieli wąsów i brodów, robili sobie z sadzy z tłustością zmieszanych pręgę

wzdłuż nosa, drugą wzdłuż brody i dwie pod nosem w górę zakrzywione na kształt wąsów. Każdy z tych oratorówprawił pororę do postaci, jaką wziął na siebie, przystosowaną, z samych śmiesznych wyrażeń ułożoną. Po odbytych w kościele perorach rozbiegali się a wszyscy oratorowie. tak palmowi jako też obuchowi, po domach, po szynkowniach, nawet po pałacach, gdzie tylko wcisnąć się mogli, prawiąc wszędzie głosem natężonym i bijąc co trzecie słowo obuchem w ziemię lub laską pielgrzymką wytrąsając ku audytorom swoim perory w kościele powiedziane, a pielgrzymi na dowód peregrynacji swojej różne osobliwości z torby wyjmując i pokazując: zęby końskie, kołtony, czapczyska, buty zdarte, ogony bydłce i inne tym podobne rupiecie z śmieci wywleczone. Gdy te błazeństwa w uczciwym domu, dopieroż w kościele nieprzystojne, z małej początkowej kwoty do większej coraz postępowały liczby, tak iż lud na nabożeństwie zgromadzony, skromnie się zrazu uśmiechający, w gwałtowny się potym śmiech wylewał, rażąc modestją kościelną, Śliwicki wizytator misjonarski, proboszcz warszawski św. Krzyża, najpierwszy zabronił kościoła swego tym nieprzystojnym oratorom, a za jego przykładem z wszystkich innych ich wygnano, zostawiwszy tylko według ceremonjału kościelnego dziecinne perory. Ci zaś oratorowie obuchowi tylko się po szynkowniach i przekupkach lat kilka po wygnaniu z kościołów jeszcze uwijali, nareszcie za odmianą gustu gminnego wszędzie zniknęli, nie mając tego akcydensu do kieszeni, który im z początku sprzyjał.

O rezurekcji za Augusta III.

Rezurekcja albo procesja w dzień wielkanocny *cum Sanctissimo* z grobu wyjątego bywała taka, jaką jest i dzisiaj, trzy razy obchodzącą dokoła po kościele wewnątrz albo dokoła kościoła po ementarzu lub krążgankach kościelnych według sposobności, jaka gdzie była. Zaczynała się ta procesja w miastach wielkich zazwyczaj o godzinie północnej z soboty na niedzielę. Gdzie atoli były katedry, zaczynała się w wieczór w sobotę o godzinie dziewiątej. Po wsiach i miasteczkach małych, do których parochij należały wsie, zaczynała się dodnia w niedzielę albo też na wschodzie słońca. Niemal wszędzie po wsiach i małych miasteczkach podczas tej uroczystej procesji strzelano z moździerzów, z harmatek, z organków t. j. kilku lub kilkunastu rur w jedno łoże osadzonych w jednym rzędzie żłobkowatym zapały mających, lontem jak moździerz i harmatki zapalanych, albo też z ręcznej strzelby, pod którą w niektórych miejscach stawali żołnierze, gdzie mieli konsystencje, a gdzie nie było żołnierzy, mieszczankowie z różnych cechów lub na wsiach parobcy. A że ci ludzie nie wyćwiczeni w taktyce częstokroć nie razem, lecz po jednym lub po kilku wydali ognia, co się czasem i żołnierzom trafiało, przeto urosło przysłowie między myśliwymi, kiedy w kniei gęsto do zwierzca strzelano: *strzelają jak na rezurekcję*. W Warszawie kiedy król mięszkał, który zawsze asystował

rezurekcji z królową, lub sam jak kiedy znajdował się w kraju, zaczynała się rezurekcja o godzinie ósmej wieczorowej. Drabanci jego we dwa rzędy uszykowani, tył królewski sobą zasłaniając, szli wraz z procesją obok *Sanctissimum*, nad którym baldachin nieśli senatorowie lub urzędnicy koronni orderowi. Skoro się rzężyła w kościele procesja, artylerja koronna w tyle kościoła farnego z harmat na gnojowej górze zatoczonych wydała ognia sto razy wciąż. Że król August był wzrostu wielkiego i otyły, a ku końcu panowania swego już był w podeszłym wieku, przeto ażeby się nie nadto mordował troistem kościoła obchodzeniem, w obecności jego procesja nie chodziła tylko raz; po innych kościołach warszawskich zaczęta rezurekcja o godz. jedenastej przed północą w kościele misjonarskim ciągnęła się po kolei kościołów aż do świtania. Wielu było z pospólstwa, którzy mieli sobie za nabożeństwo biegać od kościoła do kościoła z jednej rezurekcji na drugą. Najpunktualniejsi zaś byli w tym rodzaju dewocji rzeźmieszkowie, którzy mieszając się w ciżbę kieszenie z pieniędzmi wyrzynali albo z nich zegarki, tabakierki lub chustki ludowi wyciągali. I choć kto poczuł takowe plądrowanie w swojej kieszeni, będąc niesiony ciżbą i ściśniony jak w prasie albo się mu nie mógł odjąć albo też dosyć dokazał, kiedy krzykiem gwałtownym i wczesnem swojej kaloty zachwyceniem złodzieja odstraszył.

O procesjach w Boże Ciało.

Te procesje bywały zawsze publiczne: w miastach po rynku, w wsiach po ulicy około kościoła; w miastach, w których są jakie kościoły, obowiązane jest duchowieństwo tak świeckie jako też zakonne tudzież magistraty i cechy asystować procesji pryncypalnego kościoła. Każdy zakon asystował tej procesji, idąc parami za swoim krzyżem od braciszka niesionym, oprócz jezuitów, którzy od asystencji z krzyżem, bullami rzymskimi i dekretami, z różnemi biskupy chcącemi ich przymusić do równej z innemi zakonami asystencji wygranemi, byli uwolnieni. Cechy wszystkie asystowały tej procesji z chorągwiami i świecami. Warszawska konfraternja kupiecka z muszkietami, z których po wniściu duchowieństwa *cum Sanctissimo* do kościoła przed tymże kościołem po trzykroć wydała ognia; dzieliła się ta konfraternja na dwa bataljony: używający niemieckiego kroju formowali jeden bataljon, noszący polską suknią formowali drugi. Kolor sukien w obu bataljonach rozmaity. Komendanci bataljonów jak najbogaciej ubrani dystyngowali się: niemieccy szarfami i szpontonami oficjerskimi, tudzież kapeluszkami białem piórem strusiem obłożonemi, Polacy buławami hetmańskimi i kołpakami sobolemi. Każdy bataljon swój ogień wydawał osobno raz po raz trzy razy, a za każdym ogniem chorąży czyniąc chorągwią salutacją wyrabiał nią różne sztuki, do której i ta należała, że czasem przez szybkie nią miotanie w różne strony i w cyrkuł wykręcanie zawadził w łeb jakiego

spektatora nieostroźnie nawinonego albo tłokiem napchniętego; w dokazywaniu chorągwią Niemcy celowali Polaków, ale za to Polacy zawsze w dawaniu ognia przepisowali Niemców, którym rzadko kiedy udało się razem wystrzelić, chociaż przybierali do siebie dla lepszego ładu unteroficerów od gwardji koronnej.

Strzelanie jedno jest, które czyni różnicę między procesjami za panowania Augusta III i procesjami za panowania Stanisława Augusta, pod którym pomienione strzelanie z rozkazu Dworu na damy lekkie względnie zarzucono; i kupcy tylko ci, którzy są w magistracie albo chcą z dewocji, z świecami bez chorągwiów procesji asystują, trzymając miejsce po zakonach przed świeckiem duchowieństwem. W Warszawie dla tej procesji, którą zawsze prowadził i prowadzi biskup lub prymas, a król niemal zawsze jej asystuje, robią pomost z tarcie dokoła rynku poczawszy od wielkich drzwi kościoła farnego dla wygodniejszego chodzenia królowi, celebransowi i panom orderowym, tak baldachin unoszącym jakoteż za królem idącym. Z obu stron pomostu we dwie linje stoi uszykowana gwardja koronna i piesza, nie puszczająca motłochu w środek a nawet i z okazalszych niekażdego. Około baldachinu *cum Sanctissimo* i około króla z senatorami, z dystyngowanymi damami postępuje wraz z procesją gwardja konna; za Augusta III tę służbę odbywali jego nadworni drabanci, lecz na końcu panowania gdy mu król pruski zabrał wszystko wojsko pod Pirną w Saksonji, odbywała też gwardja konna. — Niosącego *Sanctissimum* jeden z panów świeckich nie unosi pod rękę, jak jest gdzie indziej zwyczaj, ale prałaci dają mu tę pomoc, jeżeli bywa potrzebna. Wyglądający z kamienic oknami na procesję, któremi najwięcej są damy, muszą zamykać okna, gdy się procesja zbliża, a to dlatego, żeby te objekta wabiące wzrok do siebie nie czyniły dystrakcji nabożeństwu — i wielce nieprzyzwoita rzecz jest, żeby głowy tych lalek nad *Sanctisimum* gorowały. Tak bywało wszystko za Augusta III; tak jest i za dzisiejszego Stanisława Augusta oprócz strzelania, które i po innych miastach i wsiach było do tej procesji tak jak i przy rezurekcyi używane.

O ^rJ a s e ł k a c h.

Mamy wiadomość z Ewangelji, że Chrystus narodzony w tajni złożony był *in praesepe*. *Praesepe* znaczy w polskiej mowie żłób. Jąsła zaś zowią się zagrody pod żłobem, gdzie słomę na podściel pod konie służącą kładą; mówią się też jąsła, kiedy w oborach, w których bydło stawa, niemasz żłobów, tylko w takie zagrody z deszczek zrobione, kładą dla bydła słomę i sypią sieczkę. Ten, co pierwszy wymyślił jasełka, o których niżej będę pisał, rozumiał, że jąsła i żłób są imiona jedną rzecz znaczące tę samą, co słowo łacińskie *praesepe*, przeto lalkom swoim i trafikom dzieciennym, któremi wyrażał narodzenie Chrystusowe, nadał imie jasełka, które kiedy nastały do Polski, nie wiem; jak jednak pamięcią zasięgam,

we wszystkich kościołach były używane; obchodzono je tak jak groby wielko-piątkowe, lubo mało co ludzie stateczni, tylko najwięcej matki, mamki i piastunki z dziećmi, studenci z dyrektorami i młodzież doroślejsza obojej płci, pospólstwo zaś drobne niemal wszystko.

Pomienione jasełka były to ruchomości małe, ustawione w jakim kącie kościoła, a czasem zajmujące cały ołtarz, niżej i wyżej po bokach, tylko jedną menzę ołtarzową nie zaprzątnioną sobą zostawując dla odprawowania mszy świętej wolną.

Była to w pośrodku szopka mała na czterech słupkach, daszek słomiany mająca, wielkości na szerz, dłuż i na wysokość łokciowej; pod tą szopką zrobiony był żłobek, a czasem kolebka wielkości ćwierćłokciowej, w tej lub w tym osóbką Pana Jezusa z wosku, albo z papieru klejonego albo z irchy lub płótna konopiami wypchanego uformowana w pieluszki, z jakich płatków bławatnych i płóciennych zrobione uwiniona; przy żłóbku z jednej strony wół i osieł z takiejż materji jak i osóbką Pana Jezusa ulana lub utworzona klęczące i puchaniem swoim Dziecinę Jezusa ogrzewające, z drugiej strony Maryja i Józef, stojący przy kolebce w postaci nachylonej, afekt natężonego kochania i podziwienia wyrażającej.

(Dalszy tekst tego rozdziału jak w wydaniach drukowanych, tylko przeważnie obszerniejszy i z warjantami w poszczególnych wyrażeniach. Dla przykładu podaje się początek tekstu drukowanego w dotychczasowych wydaniach: „...była więc osóbką pana Jezusa, a na boku Marja i Józef, stojący przy kolebce w postaci nachylonej, afekt natężonego kochania i podziwienia wyrażającej“).

Michał Janik.
